

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

10

(D kontinuum.)

— Tak, tak — rzekł niecierpliwie sir John — lecz to ja jestem tym oskarżonym: niech pan mówi bez ogródki, iż policya uważa, że ma doskonałe dane co do mego aresztowania; czyż nie tak?

— Istotnie tak; zdaje mi się, że nie potrzebuję panu zwracać wcale uwagi, iż najbardziej wskazana jest zupełna ze mną szczerość. Chęć przez to powiedzieć, że jeżeli pan ma jakiś drobny szczegół, który w zwykłych warunkach chciałby zachować dla siebie, obecnie nie może się pan wahać ani chwili ze zwierzeniem mi go; może pan mi wierzyć, że szczerze w pańskim interesie doradzam.

— Ależ, drogi panie, ja już wszystko powiedziałem, co wiedziałem!

— Nic mi pan nie mówił jeszcze o pani Alliston!

— Alliston? Nie znam nikogo tego nazwiska z wyjątkiem młodego Allistona, nauczyciela; kto jest ta kobieta?

— To bardzo dziwne; policya otrzymała zeznanie niejakiego Johna Hammertona, który utrzymuje, iż widział panią Alliston w Greenleafhurst na drugi dzień po zbrodni, i że ona szła do zamku. Stamtąd...

— Skłamał! — zawołał sir John, chwytając się kurczowo za poręcz fotelu: — cóż to za głupstwa? Mówię, że nigdy nie widziałem podobnej kobiety, że nigdy o niej nie słyszałem. Kto ona jest?

— Żona ofiary; policya twierdzi, iż działał pan w porozumieniu z nią i stara się dowiedzieć, iż to pan dopuścił się zbrodni za jej namową.

— Panie Radford — rzekł baronet powstając i chodząc po pokoju — albo pan przestanie mi opowiadać podobne bezmyślne historie, albo ja oszałeję: nigdy w życiu nie słyszałem podobnego steku bzdurstw. Na miłość Boga zmienimy temat. Jakie mają dowody?

— Dobrze — odparł adwokat, pragnąc uzyskać za wszelką cenę potrzebne wyjaśnienia, zostawmy ten temat; gdy będzie potrzeba, wrócimy jeszcze do niego.

— Tak, tak, wrócimy, ale w granicach rozsądku — zgodził się sir John, siadając. — Zapomnijmy o rozumowaniu policyi, a przejdźmy do dowodów, jakie mają na potwierdzenie mej obecności w Greenleafhurst w chwili zbrodni.

— Czy przypomina pan sobie zeznanie agenta w czasie pierwiastkowego śledztwa o śladach znalezionych w szopie?

— Owszem, pamiętam dokładnie.

— Agent ten odkrył ślady ofiary w szopie wraz z odciskami innych stóp, które można uważać za ślady mordercy.

— Tak, śledztwo doszło do tego wniosku; więc cóż?

— Jeden z tych odcisków został zachowany przez pewnego młodego człowieka, nazwiskiem Muskin, który mieszka w Greenleafhurst.

— Znam go dobrze.

— Muskin ten był podobno w stosunkach z pańskim stangretem, któremu pan dawał nieraz swe stare rzeczy.

Sir John potwierdził to ruchem głowy.

— Między innemi ofiarował mu pan parę trzewików, które on sprzedał następnie temu Muskinowi.

— Chyba pan nie będzie mi opowiadał, że te trzewiki nadawały się do odcisków?

— Właśnie stwierdzono to najdokładniej.

— Ależ panie, to jest szaleństwo! Ja, Boże drogi! Co to wszystko znaczy? Czyżbym dopuścił się tej zbrodni we śnie? Nie przypominam sobie wcale, bym zbliżał się nawet do szopy na kilka dni przed zabójstwem. Wieczorem w dzień wypadku udałem się wprost z zamku do Dunstead; jechałem nie od strony szopy; niech pan posle po stangreta, Bates, by zaraz tu przybył i niech go pan rozpyta.

— Nie można niestety tego uczynić: Bates jest powołany na świadka. Jeżeli wejdziemy z nim w stosunki, trzeba to zrobić z najwyższą roztropnością i użyć do tego trzeciej osoby, której moglibyśmy się wyprzeć w razie potrzeby; nie jest to jednak sprawa aktualna.

— Więc jakąż jest aktualna, na miłość Boga? — zawołał sir John, zrywając się z krzesła i chodząc szybko w strasznym podnieceniu po pokoju.

— Oglądałem dzisiaj rano te trzewiki bardzo szczegółowo i miałem szczęście znaleźć tam coś, co uszło oka policyi. Włożyłem rękę do środka i stwierdziłem, że były one wypchane papierami, aby nadawały się do drobnych stóp. Poprosiłem o pozwo-

lenie przymierzenia ich; ajenci śmiali się bardzo, lecz nie sprzeciwiali się. Jak pan wie, ja nie mam nogi zbyt wielkiej i z wejrzenia trzewiki te wydawały się dla mnie za szerokie, a jednak gdy chciałem jeden z nich włożyć, nie mogłem wsunąć go na nogę.

— Czy pan im to powiedział?

— Niezupełnie; zwróciłem ich uwagę na stan trzewików i prosiłem o zanotowanie, że są wyłożone papierami; potem udałem się po żonę, którą z sobą przyprowadziłem.

— Panią Radford? — zapytał sir John, któremu zdawało się, że się przesłyszał.

— Tak — odpowiedział adwokat z uśmiechem. — Może to się wydawać dziwnem, miałem jednak w tem swoją myśl i postanowiłem przekonać się, co ona warta. Poprosiłem więc ich znowu, by pozwolili żonie przymierzyć te trzewiki, bardzo ich to bawiło, zgodzili się jednak; żona włożyła je i mogła najspokojniej chodzić w nich.

— Lecz cóż to wszystko znaczy?

— Oto: jeżeli moja myśl słuszna, same trzewiki dowodzą, że używał ich ktoś inny, a nie pan. Przytem osobą tą musiała być kobieta o drobnej stopie, bardzo być może, że pani Alliston, której policya obecnie poszukuje.

— Jakże, do diabła, mogła ona zdobyć moje trzewiki? I zresztą dlaczego chciała ich użyć?

— Jest to bez wątpienia bardzo chytry podstęp dla oszukania policyi; przedsięwzięła widocznie wszystkie środki ostrożności a między innymi zmieniła obuwie, by skierować podejrzenia na jakiego mężczyznę. Pańskie obecne położenie świadczy, iż nie było to złe pomyślane.

— Tak, w jakim jednak sposób mogła użyć moich trzewików?

— To pytanie ja mogę panu zadać, fakt, że ona je miała, zrzuca na nią całą odpowiedzialność. Mimo to nie mamy jeszcze dowodów zupełnych, że nie był to pan, jak utrzymuje policya w porozumieniu z nią. Jest tutaj jeszcze kilka trudności na pańską niekorzyść.

— Ależ ja pana zapewniam, że ja nigdy nie widziałem pani Alliston, ani o niej nie słyszałem. Nigdy nie znałem starego Allistona, nie widziałem go ani żywego ani umarłego: nie słyszałem nawet, że ma żonę. Dlaczegoż więc jestem oskarżony o udział w zabójstwie człowieka, o istnieniu którego nie widziałem przez dłuższy czas?

— Pozostawmy ten punkt i przejdźmy do następnego; policya posiada mały brylant: Wilfred Alliston zeznał, że znalazł go w szopie cygańskiej na drugi dzień po zabójstwie swego ojca.

— I cóż z tego? — zapytał ciekawie baronet.

— Sposób, w jaki on go odkrył, dowodzi, że zgubiła go osoba znajdująca się w szopie w chwili zbrodni. Z drugiej strony Muskin utrzymuje, iż widział pewnego dnia u pana na dewizce od zegarka pierścione, w którym brak było właśnie brylantu. Był on specjalnego kształtu.

— Boże! — zawołał sir John — co pan chce przez to powiedzieć?

— Kamień ten wypadł z wszelką pewnością podczas dokonywania zbrodni.

— Na miłość Boską! ten pierścionek nie był mój, jest on żony. Przypominam sobie teraz wszystko: dała mi w dzień płacenia czynszów, gdy byłem bardzo zajęty, abym kazał wstawić kamień, który zgubiła. Przyczepiłem go do dewizki, a potem posłałem do jubilera. Ja... ale cóż, u diabła, tak mi się pan przypatruje?

— Czy nie widzi pan, do czego zmierzają pańskie wyjaśnienia? — zawołał Radford, który podniósł się i wziął go za rękę. — Nie rozumie pan, że to kobieta używała pańskich trzewików i że brylant został zgubiony przez...

— Litości! ah! ależ nie, ależ nie! żona nie znała tego człowieka! Nigdy nie widziała...

Radford, nie słuchając dalej, podszedł do drzwi i dał rozkaz służącemu, by sprowadził dorożkę, potem zwrócił się do sir Johna i rzekł mu spokojnie:

— Spieszmy się: jedziemy w tej chwili do Greenleafhurst.

XV.

Aresztowanie sir Johna Lesterhama wywarło wielkie wrażenie w Greenleafhurst; Muskin widział przybycie agentów i oczekiwał niecierpliwie na ich odjazd; z przyjemnością zauważył, że zabrali z sobą więźnia i pojechali za nimi w swej bryczce na kolej, gdzie zobaczył, iż wsiadli do pociągu londyńskiego. Na widok ten zatarł z radości ręce i szybko zawrócił z powrotem, opowiadając każdemu, iż kazał aresztować mordercę z Greenleafhurst i otrzymał za to dwieście funtów szterlingów nagrody. Istotnie

Muskin uważał się za bohatera dnia. Chociaż policya nakazała mu milczenie, ciągle opowiadał tylko o tem. Naprzód rozwiódł się przed towarzystwem zebranem pod „Czerwonym Lwem“, potem udał się do pana Ponderbury'ego, z którym obgadał wszystkie szczegóły tej sprawy, wreszcie skierował się do Wilfreda, by się pochwalić aresztowaniem sir Johna.

Nauczyciel przyjął go bardzo zimno, z widoczną niechęcią; przykrem mu było bardzo, iż policya poważnie oskarża baroneta. Z jakiego by punktu patrzył na tę sprawę, nie mógł uznać sir Johna winnym, postępowanie zaś agentów wydało mu się zupełnie niezrozumiałem.

Po skończeniu lekcji w szkole Wilfred wyszedł pospiesznie, by dowiedzieć się dokładnie, jak odbyło się aresztowanie. Poszedł drogą prowadzącą na dworzec kolejowy szybkim krokiem, by kupić tam sobie ostatni dziennik i zarazem zająć do hotelu, czy przypadkiem Hammerton nie wrócił już z Londynu. Z dziennika nie dowiedział się niczego nowego, chyba tylko tego, iż fakt aresztowania został już publicznie ogłoszony. Nie było nadziei, by wiadomość ta uszła czyjejkolwiek uwagi i w istocie oskarżenie o zabójstwo sir Johna Lesterhama zostało opisane z najdrobniejszymi szczegółami. Szczęściem tylko, że dzięki staraniom przyjaciół, wieść ta nie doszła jeszcze uszu miss Gracyi.

Hammerton był już z powrotem: siadał właśnie do stołu, gdy wszedł Wilfred, który chętnie przyjął zaproszenie do obiadu. Mieli sobie wiele rzeczy do powiedzenia o postępie śledztwa przeciw sir Johnowi. Wilfred poprostu z przerażeniem dowiedział się o zarzutach skierowanych przeciw oskarżonemu. Hammerton nie opuścił żadnego faktu, nadmieniając ciągle, iż powtarza tylko to, co sam usłyszał.

— Jakie jest pańskie zdanie? — zapytał nauczyciel. — Czy sądzi pan, iż sir John jest bez powodu zamieszany w to wszystko?

— Uważam to wszystko za bardzo nieprawdopodobne; lecz co powiedzieć o tem, iż przez lata całe był tak ściśle związany z panią Alliston, która według mego niewzruszonego przekonania jest pośrednio lub bezpośrednio odpowiedzialna za całą sprawę.

— W każdym razie można wnosić, iż on coś wiedział?

— Cała ta historia jest dla mnie tajemnicą; waham się z wyrażeniem swego zdania: jeżeli tylko mógłbym odnaleźć panią Alliston, posiłbym klucz do rozwiązania tej zagadki. Na razie nie mamy nic do czynienia: chodźmy na ganek hotelu zapalić cygaro.

— Dobrze — odrzekł Wilfred, nie mogąc skryć uśmiechu na widok obojętnego na pozór spokoju swego towarzysza.

— Niema nic lepszego dla rozerwania umysłu — dodał Hammerton siadając wygodnie w fotelu pod otwartem niebem — jak wypalić cygaro. Nie znając szczegółów, w jakich odbyło się aresztowanie, nie możemy dojść do niczego pożytecznego.

Od strony dworca jechał w ich stronę jakiś powóz: Wilfred poznał już osobę, jaka w nim siedziała: była to lady Lesterham, która przybyła na kolej w tym samym celu, co i on, by kupić ostatni dziennik. Siedziała według swego zwyczaju prosto i dumnie, jak królowa, mimo to powieki miała opuszczone, a na zaciśniętych wargach widać było wyrażenie tłumionego bólu. Ten smutny widok wzruszył nauczyciela i Hammerton spostrzegając zmianę na twarzy swego młodego przyjaciela, zapytał, co mu jest.

— To lady Lesterham, w powozie, który przejeżdża; przykro mi patrzeć na nią, gdyż musiał to być dla niej straszny cios...

Hammerton jednak nie słuchał już; w chwili gdy powóz mijał go, podniósł się z miną jakby oszaloną.

— Kto to jest? Jak pan powiedział? Niech pan powtórzy!

— Lady Lesterham.

— Nie, nie! pewny jestem, że się nie mylę; rozpoznaj ją wszędzie i zawsze, to pani Alliston!

Tymczasem powóz lady Lesterham jechał gwałtownie drogą wiodącą do zamku. Od czasu do czasu pocierała sobie czoło rękami, jakby chciała zetrzeć z niego jakąś myśl: chwilami chwytiała flakon z wodą kolońską i przytykała go do nozdrzy, oddychając z ulgą. Oczy jej przymykały się na poły, a z zaciśniętych ust dobywał się jęk bólu lub rozpacz. Cera jej stała się prawie przezroczyście, bielszą jeszcze przez kontrast z zacerzawionemi oczami, z których musiało wiele łez popłynąć. Wreszcie dojechała do zamku; opierając się na ramieniu pokojówki wyszła z powozu i poszła wolno po schodach do siebie. Oświadczyła, iż nie będzie jadła obiadu, zażądała